

**Analizując fragmenty *Przedwiośnia* i *Granicy*, porównaj kreacje matek. Określ wzajemne relacje między matką i dzieckiem, wykorzystując także znajomość utworów.**

### **Stefan Żeromski - *Przedwiośnie***

Matka nie była w stanie utrzymać syna w domu, nakazać mu zmiany wyuzdanych obyczajów, dopilnować go i wysledzić miejsca jego kryjówek. Bez przerwy niemal czekała na jego powrót. Gdy chwycił czapkę i pędem wylatywał z domu, coś podsuwało się do jej gardzieli i zapierało oddech. Nie miała już siły prosić urwisa, żeby nie chodził. [...]

To obce miasto stało się dla niej jeszcze bardziej obce, cudze, niepojęte, groźne, złowieszcze. Po wyjeździe męża wszystkiego się tutaj bała. Dopóki mąż był w domu, on był osobą – ona cichym i pokornym cieniem osoby. Teraz ów cień musiał stać się figurą czynną. Cień musiał nabrać woli, władzy, decyzji. Jakże ten mus był nieznośny, jak uciążliwy!

Musiała wiedzieć o wszystkim, przewidywać, zapobiegać, rozkazywać. Gubiła się w płątaniu swych obowiązków. Nie wiedziała, od czego zacząć, gdzie jest droga i jak nią iść. Wstydziała się i trwożyła. Przeżywała jedną z najsrozszych tortur, torturę czynu narzuconą niedołącznej bierności. Cierpiała nie mogąc dać sobie rady. Trwoga o syna, który się jak na złość zliścił, dobijała ją. Jediną ulgę znajdowała w ciągu nocy, kiedy chłopak twardo spał. Słyszała wtedy jego oddech, wiedziała, że jest obok niej i że mu nic nie zagraża. Ale sama wtedy nie spała. Popadła w bezsenność. Wołała jednak bezsenność białej nocy niż trwogę białego dnia. Och, jakże dobrze jej było przycziąć się na legowisku, zasunąć się w kąt i patrzeć na śliczną głowę chłopca, owianą gęstwiną falistej czupryny i – patrząc tak na niego – o nim marzyć!... Jakież śliczny, jakież ukochany ten łobuz, ten urwis, ten włóczyki i zawalidroga!

Co mu się też śni – co tam przepływa pod czarującą płaszczyną spadzistego czoła? Co też to widać w tych oczach głucho zamkniętych, pod cienistymi powiekami? [...]

A patrząc tak na główkę jedynaka, głęboko rozważała: "Któż to jest, na Boga! ten chłopiec? Oto tajemnica niezbadana poczęła go w niej. Oto był maleńki i niedołączny – kruszyna cielesna, byt zależny jedynie od niej – cząstka jej całości, jak gdyby nowy organ jej ciała, ręka lub noga... Wykar-miła go, wypielegnowała, wyhodowała. Z roku na rok rósł w jej rękach, w jej oczach, w jej objęciu. Każdy dzień jego zależał od niej, z niej się poczynał, na niej się kończył. Siły swe przelała, życie swe przesaczyła kropla po kropli w jego siły. Nastawiła i wyprostowała drogi jego krwi. Nadała mu głos, krzyk, śpiew. A oto teraz obcy się staje i złowieszczy. Obraca się przeciwko niej. Z niego płynie na nią jakieś złe. Bezgraniczna miłość ku niemu przekształca się i przeradza na krzywdę słabego jej ciała i ducha omdlałego. Gdyby go tak bezgranicznie nie kochała, cóż by jej było, choćby się psuł i, gdzie chce, hasał! Ale on bije w miłość, targa tą siłą, którą go obdarzył jej słaby ostatek mocy".

### **Zofia Nałkowska - *Granica***

Elżbieta [opiekując się chorą panią Kolichowską] pomyślała o matce (...).

Ostatniej wiosny napatrzyła się jej do woli. Czowała jeszcze teraz zapach powietrza, gorzki od nagranych południowych liści. Stała za matką na dużym balkonie nadwodnej willi. [...] Matka była zdenerwowana, naprzód spieszyła się, a teraz czekała niecierpliwie. Lepiej było milczeć. Elżbieta z ciekawością przyglądała się jej sukni. Była z mszystej, mięciutkiej wełny białej i zapinała się na piersiach ukośnie na trzy guziki, trzy okrągłe kawałki różowego koralu. Na szyi nie było pereł, tylko sznurek takich samych, trochę drobniejszych różowych koralu. Nadęte, rozgniewane usta były pomalowane jasnym karminem. I jeszcze coś bladoczerwonego, jakaś kokarda z emalii uczepiona była do każdego z białych, mszystych pantofelków. Była cała czysta, świeża, zbytkowna, gładka – bez jednej zmyzy. Była czymś najpiękniejszym, co się da pomyśleć. Była bezużyteczna, była tylko do ozdoby. Jak można mieć taki profil i żeby to było żywe! Jej piękność, jej cała jakość była tylko do ozdoby.

Nie była matką, była zwyczajnie drugą kobietą. Maskowała się tak niedbale. Obie ręce trzymała na poręczy balkonu – i także te ręce były piękne i miały koralowe paznokcie. Bez słowa patrzyła przed siebie, ściągając brwi. Ale nie na jezioro. Ani na góry tamtego brzegu – lekkie, jakby wydmuchane z niebieskiego kurzu, ani białe żagle, nadciągające po wodzie świetlistej i zielonej jak grynszpan – nie były dla niej warte widzenia. Patrzyła na kratę małej bramy w murze, bo tędy miał znowu teraz przyjść któryś z jej mężczyzn.

Uśmiechnęła się, gdy wszedł. Uśmiechała się niezmiernie rzadko, była piękna pochmurnie i gniewnie. Ale za to jej uśmiech znaczył o wiele więcej niż u innych. Był nie tylko łaskawy i dzieciennie niezaradny, był jeszcze pełen dobroci. Dlaczego więc Elżbieta myślała o matce, że jest niedobra?